

Jak stary Strauss nabawił się w Poznaniu choroby morskiej



♦ **Magdalena Wilczyńska-Gos**
jako kapitan Orlovsky

OPERETKA
Pocziwą „Zemstę
nietoperza” w poznańskim
Teatrze Wielkim wyprawiono
w rejs współczesnym
statkiem. I omal nie zatoneła.

To bodaj już ostatnia klasyczna operetka wiedeńska, którą dziś chętnie się wystawia, a jednak dla współczesnego teatru jest w niej coś obciachowego. Zabawa z szampanem, walce i czardasze, długie suknie i fraki – jakże ten świat jest daleki od tego, co dziś oglądamy na scenach.

Można jednak to przyjąć z całym dobrodziejstwem. Można zgodzić się w „Zemście

nietoperza” Johanna Straussa syna na stare pomysły: mąż nie poznaje żony, bo skryła twarz pod maseczką, pokojówka robi furorę w sukni swojej pani, a kochanek zostaje więty za męża Rosalindy, bo włożył jego szlafrok. Z takich klasycznych składników wciąż da się zrobić zabawne przedstawienie, co choćby w 2005 r. udowodnił w Krakowie Janusz Józefowicz.

Nowe pokolenie reżyserów już chyba tego nie potrafi, nie czuje lekkości walca, nie wie, że kobieta w sukni z trenem pętającym nogi może być zmysłowa. Oni szukają sposobu na przezwycięzenie „nędzy idiotycznego szablonu”, jak

pisał o operetce Julian Tuwim, sam zresztą nią urzeczony.

Operetkę zaś można kochać i się z niej podśmiewać, a połączenie tych dwóch uczuć daje szansę na inne jej pokazanie w XXI wieku. Tym kierował się w Poznaniu młody reżyser Krzysztof Cicheński. Wraz z autorem koncepcji inscenizacyjnej Krzysztofem Szumańskim przenieśli akcję z XIX-wiecznego Wiednia na luksusowy transatlantyk.

Niektóre absurdalne z dzisiejszego punktu widzenia pomysły intrygi przestały być w ten sposób pozbawione sensu, choćby szalony bal kostiumowy, który bywa stałym punktem takich wycieczko-

wych rejsów. Resztę dodała tzw. reżyserska inwencja. Co z tego jednak, że piękne dziewczęta opalają się tu na leżakach, a młodzi mężczyźni prężą torsy? To są w gruncie rzeczy najprostsze chwyt.

Znacznie trudniej jest tak poprowadzić bohaterów „Zemsty nietoperza”, by nie byli operetkowymi marionetkami i by cały tłum na scenie poruszał się w rytm genialnej muzyki Straussa. A jej rytm na trzy czwarte nie musi wywoływać choroby morskiej.

Takich umiejętności zabrakło Krzysztofowi Cicheńskiemu. W Poznaniu więc większość numerów muzycznych została odśpiewana na prosc-

nium, a bal u kapitana Orlovsky’ego okazał się niesłychanie statyczny. O wykonawcach nie wspomnę, choroby i złośliwości losu wykluczyły większość poznańskich solistów i obsadę dobierano w trybie awaryjnym. Jeśli jednak są to śpiewacy na co dzień obcuający ze Straussem, to także niezbyt uważnie go słuchają.

Publiczność w różnym wieku bawiła się jednak dobrze. Muzyka Straussa okazuje się niezniszczalna, a genialne tłumaczenie Juliana Tuwima sprzed ponad 80 lat nadal wywołuje śmiech, w przeciwieństwie do kilku dodanych współczesnych dowcipów. ©©

—Jacek Marczyński